

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

W Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i męskich bluzek
strajnych i angielskich, bon strasich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

Mme Benoît, widząc, iż jej gość tak się niemi interesuje, pokazała jeszcze inne, mianowicie fotografie aeroplanów, mówiąc, iż narzeczony jej córki interesuje się nadzwyczajnie awiatyką. Paulin Broquet wziął jedną z fotografii do ręki i zaczął pilnie przypatrywać się.

— O, — rzekła Mme Benoît, — to nic zajmującego, to tylko fotografia nowej armaty, mitraliezy, którą żołnierze mieli wypróbować w Satory... ale to chyba pana nie interesuje.

— Nie, rzeczywiście, — odpowiedział Broquet przekonująco, — wolę portrety.

— Tak, lecz mój zięć ubóstwia wszystko, co ma wspólnego z wojskowością... Trzeba panu wiedzieć, że on był kiedyś w wojsku... Jest dawnym żołnierzem legii zagranicznej.

— A więc on nie jest francuzem?

— Nie panie, jest szwajcarem, lecz kocha Francję, jak swoją własną ojczyznę. Chciał służyć w legionie cudzoziemskim, aby następnie przyjąć tutejsze poddaństwo.

— To bardzo pięknie!

— Oto jego fotografia w ubraniu wojskowym i cywilnym. Piękny człowiek, a jaki miły!

Paulin Broquet wziął obie fotografie i zaczął im się przypatrywać uważnie, jakby chciał wyrzeźbić w swej pamięci rysy Mr. Schmitt, który tak kochał Francję i robił takie ładne fotografie.

Zatrzymałby z przyjemnością obie podobizny przy sobie, lecz nie chciał prosić o pozwolenie na to, spodziewając się słusznie odmowy. Położył je na stole wraz z innymi fotografiami, lecz w taki sposób, aby je można było łatwo zrzucić, co też przy pierwszej sposobności uczynił. Nachylił się, aby je pozbiierać z podłogi.

— Niech pan się nie trudzi, — zawołała Mme Benoît, nachylając się również.

Podczas gdy wdowa zbierała fotografie, Paulin Broquet wybrał parę egzemplarzy i schował nieznacznie do kieszeni.

Podziękował Mme Benoît za jej uprzejmość i zbierał się do wyjścia, gdy z drugiego pokoju doleciało ich żalosne wycie psa.

— Cicho!... Fritz!... Cicho!... — zawołała Mme Benoît. — Poczem dodała zwracając się do detektywa:

— To piesek mojej córki. Przywiózł go jej ze Szwajcaryi narzeczony. Płacz, bo nie widział swej pani od wczoraj.

ROZDZIAŁ XII.

Wdowa, widząc zdziwienie, malujące się na twarzy gościa, uważała za stosowne dodać parę słów wyjaśnienia.

— Zdarza się czasami... nie często... lecz w przededniu wypłat, lub innych operacji finansowych... iż Fernanda musi do późnego wieczora pracować w biurze. Aby nie była zmuszona wracać w nocy do domu, Mr. Benamol każe wstawiać łóżko do pokoju w którym ona pisze i córka moja przepędza wtedy noc w biurze. Byłam uprzedzona właśnie, że to się dziś zdarzy, lecz biedny Fritz nie może tego zrozumieć. Może mu się zdaje, iż to jego pani lub Mr. Schmitt rozmawiają ze mną.

— Niechże pani wypuści tego biednego pieska. — I nie czekając przyzwolenia wdowy, Paulin Bro-

quet otworzył drzwi prowadzące do pokoju Fernandy. Wybiegł stamtąd szpic czarny, z głową spuszczoną, ogonem skulonym. Zbliżył się do detektywa, obwąchał go i znów zaczął wyciać żałośnie.

— Biedne zwierzę, — myślał Broquet, — poznał, iż dotykałem jego panią i przeczuł jej bliską śmierć.

Pogladził psa i pożegnawszy się z matką Fernandy, wyszedł.

Mapipe czekał go w samochodzie.

— Słuchaj, — zwrócił się ku niemu, — zrób wszystko, aby pochwycić Fritza.

— Fritza?

— Szpic czarnego, należącego do pani Benoît, matki Fernandy.

— Przyprowadzisz go do mego biura w prefekturze. Chociaż nie mam wielkiego przekonania do psów policyjnych, ale zdaje mi się, że ten odda nam niezłą przysługę.

Żeby nie tracić czasu, Paulin Broquet chciał udać się do mieszkania Schmitta, przy ulicy de la Tour-Maubourg, ale zmienił zamiar ze względu na to, że trzeba było działać z największą ostrożnością. W całej tej, tak dziwnej sprawie — z łatwością można było uczynić krok fałszywy, który mógłby pociągnąć za sobą wprost nieobliczalne szkody.

Udał się najpierw do komisariatu policyjnego w dzielnicy wojskowej, rozmówił się przez telefon z prefektem, od którego otrzymał pozwolenie opieczętowania mieszkania Schmitta. Jednocześnie miano wysłać rozkaz aresztowania szwajcara, do fabryki prochu, gdzie ten pracował. Podczas, gdy prefekt rozmawiał o tem z detektywem — w telefonie rozległ się wybuch śmiechu.

— Hallo! Broquet! — zawołał zdumiony prefekt — Hallo! Z czegoż się pan tak śmieje, do licha!

— Nie śmieję się wcale, panie prefekcie — odparł natychmiast detektyw — nie śmiałem zadać panu tego pytania, słysząc wybuch śmiechu.

— Ja się nigdy nie śmieję, a zwłaszcza na służbie.

— A więc panie prefekcie — musiał się śmiać ktoś trzeci... Czy pan pamięta przerwę w naszej rozmowie dziś rano?.. Ale skąd ten śmiech? Dlaczego się śmieją?..

ROZDZIAŁ XIII.

Niespodzianka za niespodzianką.

W danej chwili jednak mało obchodziła detektywa okoliczność, iż podsłuchano jego rozmowę z prefektem... Zadowolony był, że otrzymał od prefekta to, czego żądał i że mógł działać legalnie. Wsiadł do samochodu w komisariacie policyjnym i jego sekretarzem i kazał się wieść do mieszkania Schmitta. Obecność komisarza policyjnego upraszczała sprawę. Udano się wprost na czwarte piętro, gdzie Schmitt zajmował niewielkie mieszkanie.

Paulin Broquet przy pomocy uniwersalnego klucza otworzył drzwi wchodowe. Gdy to czynił — usłyszał w mieszkaniu jakiś szmer. Wszedł szybko i w tej chwili doleciało do jego uszu stuknięcie drzwiami w drugim końcu mieszkania. Pobiegł w tamtą stronę, ale po drodze zatrzymał go znów drzwi zamknięte na klucz. Otworzywszy je — detektyw znalazł się w ubieralni, przerobionej na pokój do fotografowania.

Na kominku paliły się jakieś papiery, filmy — detektyw schylił się szybko, chcąc uratować coś z ognia, gdy znów usłyszał w sąsiednim pokoju szmer. Skoczył do drzwi, otworzył je szybko i wszedł do kuchni. Dojrzał, jak wymykała się z niej przez drzwi prowadzące na schody, otyła kobieta o rudych włosach, ubrana w niebieską suknię. Kobieta ta szybko zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Wiedząc, że wszystkie wyjścia są obsadzone

przez agentów, Paulin Broquet nie przeszkadzał ucieczce kobiety i powrócił do laboratorium fotograficznego. Przy pomocy ręcznika zmaczanego w wodzie — zgasił ogień w kominku i począł ostrożnie wyjmować papiery, filmy, klisze fotograficzne, które chciano zniszczyć a które musiały być bardzo interesujące. Podczas gdy układał te dokumenty, chcąc zabrać je ze sobą, jedna z film, skręcona przez gorąco ognia wymknęła mu się z rąk. Podniósł ją i spojrzał na nią pod światło. Na czarnym tle ujrzał białe litery:

„Ministerstwo spraw zagranicznych.
Gabinet ministra“.

Paulin Broquet poczuł ogarniające go wzruszenie, jakiego nigdy jeszcze nie doznał w swym burzliwym zawodzie detektywa.

Drżącą ręką przekreślił taster od światła elektrycznego — i począł starannie badać film, chcąc upewnić się, że się nie pomylił.

O pomyłce nie mogło być mowy — detektyw trzymał w ręku fotografię dokumentu z ministerstwa. Nie tracąc czasu na szczegółowe odczytywanie, detektyw zwinął film i schował do kieszeni. Uratowane z ognia dokumenty zawinął w ręcznik i udał się do sąsiedniego pokoju, gdzie czekał nań komisarz policyjny z sekretarzem. W sypialni znaleziono mnóstwo fotografii pana James'a Benamol, różnej wielkości, w najrozmaitszych pozach.

— Głowa James'a Benamol, jak widzę, bardzo interesowała p. Schmitta — pomyślał Paulin Broquet.

Prócz tego znalazł dużo fotografii młodego człowieka o inteligentnej twarzy o jasnych, przyciętych po wojskowemu włosach. Paulin Broquet widział te fotografie u pani Benoît. Przedstawiały one samego Schmitta, szwajcara, dawnego żołnierza legii cudzoziemskiej, który tak kochał Francję, iż fotografował z zapalem forty, aeroplany i najnowsze modele armat.

Komisarz chciał przykładać pieczęcie na szafie, nie zaglądając do niej, Paulin Broquet zatrzymał go.

— Wartoby zobaczyć, co się tam znajduje.

— O! — odparł komisarz — bielizna.

— A ja myślę, że ubrania...

l otworzył szafę.

Jednocześnie rozległy się okrzyki przerażenia, zdziwienia, osłupienia.

W szafie wisiał człowiek.

ROZDZIAŁ XIV.

Człowiek, który za często umiera.

Sekretarz, młody człowiek, nieprzyzwyczajony jeszcze do widoków tego rodzaju, w przerażeniu upuścił świecę i воск, które trzymał w ręku.

Paulin Broquet uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł: — Niech pan podniesie świecę i воск, drogi panie i niech pan czyni to co ja — niech się pan przyjrzy.

Komisarz ochłonął ze zdumienia szybko i wszyscy trzej poczęli się przypatrywać powieszonemu.

— Doprawdy ten człowiek za często umiera — rzekł detektyw — i zawsze w sposób tragiczny.

— Co pan chce przez to powiedzieć, drogi Janie Broquet? — zapytał komisarz, nie rozumiejąc znaczenia tych słów.

— Dziś rano widziałem tego człowieka — wtedy był on uduszony.

— Gdzie go pan widział?

— Przy ulicy Saint-Marc.

Widząc zdumienie na twarzach swych towarzyszy — detektyw podszedł z uśmiechem do szafy i wyjął z niej wiszącego.

— Niech się pan przyjrzy, drogi panie — rzekł do komisarza.

Był to poprostu manekin o twarzy z wosku, imitującej do złudzenia twarz... Jamesa Benamol.